Nr. 52.

Warszawa, dnia 15 (27) Grudnia 1871 roku.

ROK VII.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnej blizko Nowego-Świata Nr. 1,260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Prenumeratorowie z prowincyi raczą przedpłatę nadsyłać wprost do Redakcyi, w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Serya druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie; na Prowincyi: rs. 1 k. 20 kwart. (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼ oraz na zapakowanie i ekspedycyę k. 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

OD REDAKCYI.

W ciągu ostatniego tego kwartału, odbieraliśmy dość częste zapytania od pp. prenumeratorów naszych z prowincyi, dlaczego z pracami tyle znakomitego i pożytecznego pisarza, jak I. J. Kraszewski, nie spotykają się w „Opiekunie,"—od innych znowu, niezależnie od tych zapytań, prośby, aby Redakcya Opiekuna zechciała się zaopatrzyć w nowe jakie, podobnie interesujące i żywém piórem kreślone, *pamiętniki z podróży*, jakiémi były, drukowane przez ciąg cały kwartału 3-go „Obrazy Dagestanu," świętéj już dziś pamięci, Klonowskiego. Chce zbieg okoliczności, abyśmy tym i tym z łaskawych prenumeratorów naszych, którym zresztą za tyle szczere interesowanie się pismem naszém, mocno dziękujemy,—dać mogli za jednym razem zadawalniającą odpowiedź. Spieszymy z nią tém bardziéj, że ta dotyka materyałów naszéj literatury, które, osobliwie śród posuchy dzisiejszéj na dzieła prawdziwéj wartości, najżywszy interes budzić w nas winny, i których wydawnictwo będzie zarazem czcią należną z naszéj strony zasługom człowieka, prochom którego oszczędni i niezbyt pochopni do podobnych rzeczy, nawet niemcy, pomnik w Berlinie, niedawno postawili. Mówimy o pracach pozostałych po śp. Ignacym Pietraszewskim, najzasłużeńszym naszym orientaliście, o którego pisma pośmiertne, p. Kazimiera Mosch, obecna wydawczyni „Opiekuna Domowego" a synowica zmarłego uczonego, za łaskawém pośrednictwem Kraszewskiego, się upomniała.



Boże Narodzenie.

Ponieważ list nadesłany przez tegoż Kraszewskiego pani Mosch, może być jak w tym właśnie względzie tak i pod niektóremi innémi, interesującym dla ludzi, zajmujących się szczeréj literaturą naszą, jak niemniéj osobą zasłużonego powieściopisarza, wydawnictwo dzieł którego p. Glücksberg właśnie teraz podjął,—umieszczamy list ten dosłownie. Brzmi tak:

„Dajesz mi Pani nowy, a tak miły przykład otwartości w swym liście, który dziś odebrać miałem przyjemność, że Jéj też zaraz odpiszę z całą szczerością braterską i bez próżnych słów a omówień. Najprzód, Szanowna Pani, nietylko nie odmawiam mojego współpracownictwa dla Opiekuna, ale tak jak innym pismom szerzącym oświatę i zamiłowanie czytania, najchętniéj służyć mu będę.

Położenie moje od lat kilku było tak przykre,—musiałem żyć, krzątać się i dla siebie i dla drugich tyle,—że nazbyt tém już znużony, potrzebuję nietylko dla ciała ale i dla ducha wypoczynku, z jakiego powodu za parę jeszcze dopiéro miesięcy, będę mógł tém, o co mnie Szan. Pani prosi, służyć. W małéj wycieczce do Włoch, na kongres do Bononii, dostałem z zaziębienia kaszlu i ten mnie nie opuszcza. Często trudno mi usiedzieć nad pracą, tak mnie męczy. Jest to więc tyko rzecz odłożona i, jak będę mógł tylko, zaraz najchętniéj Jéj służę. Jeszcze mi pozostaje parę prac do dokończenia i dość marudna redakcya nowego wydania pism wszystkich Brodzińskiego, którą właśnie jestem zajęty.

Stryja Pani, czcigodnego orientalisty, ma tutaj Bobrowicz księgarz, ogromne rękopisma i *Podróż na Wschód*, nigdy nie drukowaną. Gdyby ją Pani z rąk obcych wydobyła, sama przejrzała i ułożyła (gotowe illustracye do wszystkich widoków, można łatwo dostać), miałaby Pani i Opiekuna czém ożywić, i w osobnéj odbitce dziełoby pewnie poszło w handlu księgarskim dobrze. Jest to bruljon, ale materiał bardzo cenny. Gdy Pani chcesz go nabyć, ja to Pani ułatwię."

(Opuszczamy cały ustęp o warunkach kupna.)

„Ma on i drugie dzieło Pietraszewskiego, *Zbiór wypisów z historyków tureckich do dziejów perskich*, który ja u niego nabywam dla ważnych nader wiadomości, które tam znalazłem. Jest tego kilkaset arkuszy. Lecz szczególniéj dla Pani i pisma jéj *Podróż na Wschód* życzyłbym nabyć; miałabyś Pani miłe zajęcie wolnych chwil i pamięci Stryja uczyniłabyś należną jéj cześć.

Kładnę to do listu, co mi samo na myśl przychodzi. — Niech Pani wierzy w moje dobre chęci i w to, że ile tylko będę mógł, jestem zawsze na Jéj usługi.

Przyjm Pani szczere wyznanie szacunku od ..... i t. d."

Wydrukowaniem tego listu, sądzimy się być, i zdaje się słusznie, wytłómaczeni przed wszystkimi, którzyby dość dawną nieobecność artykułów w Opiekunie Domowym *Kraszewskiego*, li tylko winie naszéj przypisywać chcieli; nadmienieniem zaś, że na wszystkie pozostałe po ś. p. Pietraszewskim rękopisma, wydawczyni Opiekuna wysłała już pieniądze, i że z tych rękopismów *Podróż na Wschód* zaraz po N. Roku, w szpaltach tegoż pisma drukować się zacznie,—

czynimy zadość i tym z pp. Prenumeratorów naszych, którzy nas o artykuły tego rodzaju prosili.

P.S. Zwracamy uwagę czytelników na zamieszczone w końcu numeru dzisiejszego ogłoszenie, jako zawiadamiające Ich zarazem o innych utworach pióra, mających się w roku przyszłym drukować w Opiekunie. Redaktor *Bogumił Aspis.*

JESZCZE KILKA MYŚLI O STOWARZYSZENIACH.

W ostatnich czasach, w mieście, a nawet w kraju naszym, pojawiła się dążność do zakładania stowarzyszeń, więcéj nawet,—co dość jest, nawiasem mówiąc, rzadkie, — powzięta myśl, szybko w wykonanie wprowadzoną została. W krótkim stosunkowo przeciągu czasu, uorganizowano kilkanaście stowarzyszeń, tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Sposób ten, wiązania się ludzi, wspólnością interesów połączonych, nie jest nowością. Już starożytni Rzymianie często powtarzali: „*Concordia parvae res crescunt, discordia maximae dillabuntur*". W Anglji, Francyi, Niemczech, mnóztwo istnieje związków, obszerniejsze lub szczuplejsze zadania mających. Społeczeństwa tamtejsze tak się zżyły z tym sposobem wspólnego załatwiania interesów, że każdy z mieszkańców miasta szczególniéj, do kilku naraz stowarzyszeń należy, a każde z nich na wielką skalę interesa swoje rozwija; wiele z nich ma swoje organa w prassie peryodycznéj, za pośrednictwem których, większy lub mniejszy wpływ na ogólne sprawy kraju, wywiera.

To wszystko dowodzi, że zagranicą użyteczność stowarzyszeń dostatecznie już została poznaną i przeszła w zupełne przeświadczenie ogółu. Błogie skutki stanu takiego na każdym kroku widnieją. Dobrobyt, pomyślność i oświata szybko i skutecznie się krzewią. Czyż nie powinniśmy się i my starać o dojście do tego samego u siebie, gdy tém bardziéj rzecz ta, przy istnieniu owych doskonałych wzorów, jest bardzo łatwą. Trzeba tylko, aby poczucie potrzeby stowarzyszeń, rozszerzało się w massach; trzeba tylko dotykalnie wykazywać korzyści, z zawiązywania podobnych spółek płynące.

W téjto myśli, przedsięwzięliśmy skreślenie tych kilku uwag.

Stowarzyszenie jestto zjednoczenie pewnéj liczby ludzi, pod pewnemi określonémi warunkami i w pewnym jasno określonym celu. Około tego celu grupuje się pewna ilość indywiduów, jednym interesem związanych. Interes ten jest mniéj lub więcéj im tylko właściwy, mniéj lub więcéj wyłączny. Pytanie więc zachodzi, czy ci ludzie mają prawo wyłączać się, czy słusznie zespalają swe siły dla siebie, — czy też raczéj winni roztopić się w ogólnym interesie ludzkości?

Jeśli mówimy, czy mają prawo, to nie zwracamy uwagi na zapatrywanie się na ten stosunek tego lub innego prawodawstwa, gdyż każdy wié, że we wszystkich państwach istnienie stowarzyszeń jest dozwoloném, ale pytamy — czy to jest odpowiednie zasadom sprawiedliwości i naturze stosunków ludzkich?

Otóż powiémy, że każdy człowiek, zapomocą rozumu, rozpoznaje to, co dla niego jest złém lub dobrém, a siłą woli swojéj, powzięte postanowienia urzeczywistnia. Tym sposobem wytwarza obok siebie pewien zakres czynów, myśli i zamiarów, jemu tylko znany i od niego zależący, i to właśnie jest istnieniem człowieka, jako jednostki wyłącznéj, samoistnéj, do pewnego stopnia od siebie tylko zależnéj, mającéj swoje cele, zarówno jak i środki odpowiednie do ich urzeczywistnienia.

Świat jest obszerny; na nim roje ludzi obok siebie się snują,— każdy stara się rozszerzyć sferę swego panowania, każdy jaknajwięcéj dla siebie zagarnąć; ztąd nieraz powstaje, że tak powiem, krzyżowanie się interesów, sprzeczność dążeń, różność celów; lecz stan taki nie jest ogólnym, zdarzają się i tacy, którym wspólna myśl na drodze żywota przewodniczy. Ludzie ci jednak mimo takiéj wspólności celów, początkowo, każdy tylko własnémi siłami zadanie swoje spełniać usiłował, nie zważając na obok kroczących. Wspólna jednak wędrówka i tysiączne inne okoliczności zbliżyły sąsiadów, sprowadziły ich porozumienie się co do celu i środków, i odtąd rozpoczyna się wspólna praca i podział trudów. To jest piérwsza i najogólniejsza postać stowarzyszeń, przyczyną istnienia których jest to samo, co usprawiedliwia wyłączność celów człowieka pojedyńczego, a mianowicie, sama natura rzeczy; stowarzyszenie bowiem nie jest to nic innego, jak połączenie wielu samoistnych jednostek.

Ale ponieważ nie wszyscy ludzie do danego stowarzyszenia należą, zastanowić się więc wypada, jaki wpływ sformowanie się tego ostatniego, na będących zewnątrz niego wywiera. Otóż, można ich podzielić na dwa rodzaje: jedni, którzy mają wspólne cele z połączonymi w stowarzyszenie; drudzy, którzy całkiem inną drogą kroczą i inne mają zadanie do spełnienia. Piérwsi znowu, w dwojakiém się znaleźć mogą położeniu: albo sami dostateczne posiadają siły do urzeczywistnienia swoich dążeń i wtedy nic, albo niewiele tracą przez nienależenie do stowarzyszenia, albo też, chociaż nie posiadają koniecznych środków do wytrzymania konkurencyi ze współubiegającymi się, gardzą podawaną im braterską dłonią i na zewnątrz stowarzyszenia pozostają. Cóż za skutki z tego dla nich wypływają?—oto, wkrótce zostają wyprzedzeni; a że kto bliżéj jest celu, lub kto piérwszy do niego dobiegnie, ten więcéj korzysta, oni więc pozbawiają się sami korzyści, których stowarzyszeni są uczestnikami. Ale to nie wszystko jeszcze; — często narażają się oni na straty, gdyż kto nie postępuje razem z drugimi, ten się stosunkowo cofa. Jednak czyż można zwracać uwagę na taki stan rzeczy? czyż to może wstrzymywać od czynu ludzi energicznych i roztropnych? Zapewne że nie; są to bowiem chore, lub niedoszłe do rozumu członki społeczeństwa, dla których zdrowi i rozumni strat ponosić nie powinni.

Zwróćmy teraz uwagę na kroczących innémi drogami; jak oni na tém połączeniu pewnéj części współmieszkańców wychodzą?

Ponieważ, mimo to, że każdy człowiek ma swoje własne, wyłączne cele, jest on zarazem członkiem ludzkości, więc zyski przez niego osiągnięte, do dobra całego społeczeństwa się przykładają i wszyscy jego członkowie, pośrednio chociaż, na jego powodzeniu zyskują. A ponieważ stowarzyszenia potęgują siły i zyski stowarzyszonych pomnażają, więc tym sposobem całe społeczeństwo na ich tworzeniu się zyskuje.

Cel zatem, dla którego stowarzyszenia się zawiązują, jest zgodny z zasadami słuszności i ludzkości.

Środkami wszystkich stowarzyszeń jest wspólna praca, wspólne staranie o dobro każdego uczęstnika, równie jak i całego związku. Materyałem do téj pracy jest częściowo składany kapitał. Tym sposobem, zamiast odosobnionych dążeń do celu i pojedyńczych borykań się z przeszkodami, przy małych zwykle środkach, występuje ogrom siły stowarzyszonych, wspierany przez nagromadzony wspólnie kapitał. Wtedy to przeszkody, samą siłą ciążenia parte, ustępują, a zjednoczeni członkowie szybko i bez wysileń cel osiągają.

Teraz co do warunków. Kwestya ta na większą jeszcze zasługuje uwagę; gdyż między oświeconymi nawet ludźmi panuje często przekonanie, że w miarę jak się jeden wznosi, to drugi upada, że więc, jakkolwiek dana jednostka, lub pewna liczba takowych zyskać ta może, to jednakże ludzkość w ogóle nic na tém nie korzysta.

Chociaż to pojęcie jest dosyć rozpowszechnioném, niemniéj jednak jest ono fałszywém.

Gdyby ludzkość w ciasnym jakim zakątku była zamknięta, gdyby wszystko, cokolwiek z natury wydobyć można, wyzyskaném już zostało, gdyby bogactwo ludzkości składało się tylko z tego, co jest w bezpośredniem jéj posiadaniu, wtedy mniemanie to prawdziwémby było. Cokolwiek zyskałbym ja więcéj, musiałbym to wydrzéć drugiemu; o ile zjadłbym więcéj niż zwykle, o tyle inny mniéj zjeść byłby zmuszony.

Nie taki jednakowoż jest stan dzisiejszy. Natura jest jeszcze bogata; tak wiele jeszcze skarbów z jéj łona wydobyć można, że gdybyśmy podwoili nasze potrzeby, gdybyśmy z dwa razy większą niż dotąd usilnością, wzięli się do jéj wyzyskiwania, nie wyczerpalibyśmy jeszcze jéj zasobów. Jeśli więc tak się rzeczy mają, czyż potrzeba, aby ludzie, stowarzyszając się, czyhali jedni na szkodę drugich? czyż nie uczciwsze, prostsze, a nadewszystko korzystniejsze, jest skierowanie usiłowań ku skuteczniejszemu wyzyskiwaniu natury? Jest to rzeczą jasną, że znacznie lepiéj wychodzi ten, kto prostą drogą postępuje, kto za warunek swego wyniesienia, nie kładzie poniżenia drugich. Że się inaczéj często dzieje, przeczyć nie myślimy, lecz każdy zgodzi się na to, że wyjątkowym jest charakter wypadków podobnych, — równie jak i na to, że starać się o zapobieżenie temu należy, nie zniechęcając się bynajmniéj do prawidłowego dążenia naprzód.

Gdyby więc nawet stowarzyszenia li tylko swoim interesem się powodowały, gdyby nie spotykały żadnych innych społecznych ograniczeń, już by żadne, z ich istnienia, niebezpieczeństwo, społeczeństwu nie groziło. Lecz ponieważ zdarza się, że ludzie, zyskami materyalnémi zaślepieni, uczciwość i dobrą sławę poświęcają, co stosując do naszego przedmiotu, będzie znaczyło, że często usiłują się zbogacić krzywdą drugich, społeczna tedy władza nakreśla tu granice, których nikomu przekraczać nie wolno, czyli inaczéj mówiąc, prawodawcza władza postanowiła zasady, z których uwzględnienie wszelkie stowarzyszenia mają być zakładane i ich interesa prowadzone. Takim więc sposobem, stowarzyszenia tylko na rozwój umysłowy i dobrobyt spółeczeństwa wpłynąć mogą.

Rozebrawszy na drodze rozumowania, naturę i warunki istnie-

nia stowarzyszeń wypada nam, na dotykalnym przykładzie toż samo stwierdzić.

W tym celu weźmy które ze stowarzyszeń w Warszawie istniejących, dajmy na to, współkę zjednoczonych stolarzy warszawskich. Celem tego połączenia ludzi jednym fachem się trudniących, jest ułatwienie zbytu robót wykończonych, a tym sposobem dopomaganie uczęstnikom. Cel tedy jest chwalebny. Zobaczmy daléj, jakim sposobem gromadzą się środki do jego osiągnięcia i jakich warunków pomyślność przedsięwzięcia wymaga?

Środkiem jest tu zjednoczenie zdolności pracowniczéj, pewnéj liczby stolarzy, którzy przy pomocy wspólnie zgromadzonego kapitału, wyroby swoje sprzedają. Tym sposobem cel wspólny, którym jest zbyt jednego rodzaju towarów, osiąga się założeniem jednego magazynu, zatrudnieniem nie wielu naraz uczęstników, pozostawiając innym możność ciągłego zajmowania się swojém rzemiosłem. Uczęstnicy zatem do stowarzyszenia należący, zyskują jak najlepsze warunki zbytu swoich towarów. Zobaczmy teraz, co postronni na tém zyskują.

Warunkiem pomyślnego rozwijania się stowarzyszenia, jest możność dania gwarancyi, że towar sprzedany jest dobry; skutkiem tego, do wspólnego magazynu mogą być przyjmowane takie tylko wyroby, które posiadają wszelkie wymagane przymioty. Sąd o tém, czy dany wyrób kwalifikuje się do przyjęcia lub nie, wydają ludzie fachowi, którym przedewszystkiém chodzi o dobro zakładu w ogólności, nie przyjmą więc towaru, który mógłby stowarzyszenie skompromitować. Kupujący tedy, może być pewnym, że wyrób tam kupiony nie ma żadnych wad ukrytych, będzie trwałym, i do odpowiedniego użycia zdatnym. W obec tego zgodzić się więc wypada, że konsumenci wyrobów stolarskich, żadnych strat z powodu stowarzyszenia się producentów nie ponoszą; owszem zyskują, jak to przed chwilą mieliśmy sposobność wykazać. Lecz cóż się dzieje ze stolarzami, do stowarzyszenia nienależącymi?

Oto, jeśli posiadają odpowiednie fundusze, mogą zakładać osobne magazyny, a starając się o dobroć i taniość wyrobów, mają tesame widoki i mogą się cieszyć równie szybkim obrotem kapitału, jak i stowarzyszeni; gdyż publiczność tam zawsze pójdzie, gdzie lepsze warunki dla siebie znajdzie. Zakładanie przeto podobnych stowarzyszeń nie jest wytwarzaniem monopolu, ani odnośnie do kupujących, ani też względem trudniących się tém samém rzemiosłem.

Przypatrzmy się teraz innego rodzaju stowarzyszeniu, a mianowicie, stowarzyszeniu spożywczemu, *Merkury*.

Tu łączą się ludzie, z pozoru przynajmniéj nie wiele wspólnego z sobą mający; różni stanowiskiem towarzyskiem, stopą majątkową, oświatą. Cóż więc jest wspólnym punktem, do którego tak różnorodne żywioły zgodnie dążą?

Oto, wszyscy uczęstnicy mają pewne wspólne potrzeby, a przedmiotów takowe zaspakajających, nietylko że sami nie wytwarzają, ale nawet rzadko kiedy, bezpośrednio od wytwórców, nabyć je mogą; odbywa się to przez pośrednictwo, tak zwanych przekupniów. Ludzie ci, za swoją pracę i włożony w przedsiębierstwo kapitał, powinni być i są zwykle wynagradzani i to wynagradzani sowicie, a często nawet nadmiernie. Ta ostatnia okoliczność naprowadziła konsumentów na myśl, że możnaby się uchylić od dobrowolnego, a wielkiego nieraz podatku przekupniów. I to jest pierwszą, istotną przyczyną zakładania stowarzyszeń spożywczych. Dla doprowadzenia do skutku powziętéj myśli, współstowarzyszeni wybierają pewną liczbę członków, którym powierzają kierunek, zakupno towarów i rozsprzedaż takowych. Bardzo łatwo bowiem zrozumieć, że rzecz z pierwszéj ręki, to jest bezpośrednio od wytwórcy nabyta, jest tańszą o cały procent, jakiby pośrednicy zyskać musieli, zajmując się dostawą i sprzedażą towarów potrzebnych. To jest zasadniczy plan działania podobnego rodzaju stowarzyszeń; szczegóły byłyby równie zajmującémi, lecz że nie wchodzą w zakres naszéj pracy, dotykać ich nie będziemy.

Z tego co się powiedziało, łatwo spostrzedz można, że byle tylko interesa dobrze prowadzone były, stowarzyszeni wiele skorzystaćby mogli.

Co zaś do osób, które dawniéj pośredniczyły w zaopatrywaniu dziś stowarzyszonych, w rozmaitego rodzaju towary, to dochody ich zmniejszą się, a nawet, w razie rozszerzenia się działalności stowarzyszenia, niektórzy z nich mogą się ujrzéć bez zajęcia. Bez wątpienia, że stan taki nie jest pożądany; jednakowoż, zastanowiwszy się nad naturą usług, jakie pośrednicy społeczeństwu oddają i poznawszy, że są sposoby zaradzenia ich smutnemu położeniu, utwierdzimy się więcéj jeszcze w przekonaniu, że działalność stowarzyszeń spożywczych, na miano pożytecznéj zasługuje.

Natura dwojako wpływa na człowieka, dodatnio i ujemnie, to jest, że raz dostarcza mu, już to bezpośrednio, dóbr do zaspakajania jego potrzeb służących, już téż materjału, z którego człowiek potęgą swego rozumu i woli, pożyteczne dla siebie przedmioty wytwarza. Słońce np. bezpośrednio ogrzewa nasze członki i swoją jasnością myśl naszą rozwesela, rudy zaś metaliczne, będą materyałem tylko, z którego otrzymany czysty metal, do użytku ludziom służyć może. Ujemne zaś działania natury, są to wszelkiego rodzaju wpływy szkodliwe i niszczące, lub utrudniające wytworzenie i spożycie dóbr; np. choroby są ujemnym wpływem natury; powietrze z jednéj strony wpływa dodatnio t. j. pożytecznie, gdyż życie nasze podtrzymuje, lecz z drugiéj ujemnie t. j. szkodliwie, gdyż wpływem swoim niszczy rozmaite istoty organiczne, i t. p.

Stosownie do dwojakiego działania natury, dwa też są rodzaje pracowników; jedni, którzy dary natury do użycia zdatnémi czynią, drugich zadaniem jest obezwładnienie szkodliwego przyrody działania; np. stolarze, szewcy, rolnicy są pracownikami dodatnimi, bezpośrednio pożytecznymi, gdyż pierwsi drzewu, drudzy skórze nadają takie kształty, aby mogły do użytku ludziom służyć; rolnicy także do tego zastępu należą, gdyż dokonywają takich czynności z ziarnem i ziemią, że te dwa czynniki wspólnie działając na siebie, stokrotne plony wydają i rodzaj ludzki żywią. Z drugiéj strony znowu doktorzy obezwładniają tylko szkodliwe działania powietrza i innych przyczyn, choroby wywołujących, a tym sposobem działają tylko zapobiegawczo; gdyby nie było chorób, to i oni wcale nie byliby potrzebni. Urzędników przeznaczeniem jest utrzymanie porządku społecznego; gdyby więc nie było takich, co ten ład towarzyski naruszają, to liczna klassa urzędników byłaby zbyteczną i społeczeństwo niczby nie straciło, gdyby swoje siły i rozum na inne skierowała pole. Mimo takiego jednak stanu rzeczy, nie można powiedzieć, że prace ujemne nie są pożyteczne; owszem, są one doniosłości ogromnéj, bez nich społeczeństwo nie mogłoby się rozwinąć i w konieczny bezład popaśćby musiało. Gdybyśmy nie zapobiegli szkodliwym natury działaniom, niedługobyśmy pod jéj zupełne panowanie poddać się musieli.

Kupcy w ogóle, a przekupnie w szczególności, należą do zastępu pracowników, pośrednio tylko użytecznych; usługi ich, jakkolwiek są wielkie, jednak warunkowo tylko konieczne. Zadaniem ich jest tylko przeprowadzanie towarów na miejsce, zbliżenie wytwórcy ze spożywcą. Jeśli tedy ci ostatni sami z sobą bezpośrednie stosunki zawiążą, pośrednictwo kupczących staje się zbyteczném i mogą oni swoje usługi skierować na inne miejscowości, lub też do całkiem innego wziąść się zajęcia. Stowarzyszenia spożywcze właśnie na taki stan rzeczy wpłynąć usiłują. Działalność tego rodzaju jest chwalebną, usuwa bowiem okoliczności, które pracę ujemną czynią konieczną i uwalnia tym sposobem wiele rąk i głów od pożytecznego wprawdzie, ale niekoniecznego zajęcia.

Rozumową więc drogą i przykładowym sposobem, staraliśmy się wykazać słuszność i zgodność stowarzyszeń z naturą stosunków ludzkich; więcéj jeszcze, z tego co się powiedziało, jasno widać, że tak członkowie pomienionych stowarzyszeń, jak i społeczeństwo w ogóle, tylko korzystać z tych ostatnich może; że w ich naturze nie leży dążność do zubożania innych i że ustawy prawodawcze wszystkich krajów, dostatecznie zabezpieczają społeczeństwo od wszelkich, mogących się zdarzyć nadużyć.

Jeśliśmy się na to zgodzili, idźmyż i daléj; przyznajmy, że im więcéj w kraju jakim wzrasta liczba stowarzyszeń i zakres ich działania się rozszerza, tém dobrobyt szybciéj się wzmaga i przenika we wszystkie warstwy społeczne.

U nas ostatnie lata szczególnym się kierunkiem odznaczają. Wiele użytecznych i prawdziwie ludzkich myśli w wykonanie wprowadzonych zostało, lecz niestety, inaczéj się rzeczy mają z zakresem działania związków potworzonych. W prawdzie, każde ze stowarzyszeń istnieje, *trzyma się*, jak mówią zwykle, lecz mało które blizkie jest pomyślnego rozwoju. Do wszystkich naszych stowarzyszeń, powszechnie jedni i ci sami ludzie należą, jedni we wszystkich zajmują miejsca, intelligencyi i fachowości wymagające, a co więcéj, są to ludzie, którzy nie wiele potrzebują pomocy od stowarzyszenia, którzy i własnémi siłami mogliby sobie dać radę. Należąc więc do stowarzyszenia i czynny w zarządzie jego udział biorąc, robią to więcéj w interesie ludzkości niż w swoim własnym. Cześć im i sława za to; ci, którzy w przyszłości z pomyślnego rozwoju stowarzyszeń korzyści odniosą, z wdzięcznością ich imiona powtarzać będą.

Ale pytanie, czy tym sposobem stowarzyszenia nasze odpowiadają swojemu zadaniu; czy niosą pomoc tym, którzy jéj najwięcéj potrzebują? Niestety, przecząco na to zazytanie odpowiedzieć musiémy; klassy średnie społeczeństwa naszego nie doszły jeszcze do tego, aby mogły ocenić korzyści, jakie ze zjednoczenia sił osiągnąć można; nie mogą się zdobyć na zaufanie ludziom, którzy przeważnie dla ich korzyści czas i zdolności swoje poświęcają. Drogi an,

które ludzie czynu wprowadzić nas dziś usiłują, nie są przecież nowémi, dość tylko spojrzéć na sąsiadujące z nami kraje; wszędzie tam dobrobyt i pomyślność kwitnie, co w znacznéj części zawdzięczać należy ustaleniu się u nich i zrozumieniu zasady: że im więcéj rąk i głów nad jedną rzeczą zgodnie i we wspólnym interesie pracuje, im każdy pewniejszy wsparcia współbraci w razie nieszczęścia, tém owoce z pracy są obfitsze i prowadzą za sobą większy rozwój umysłowy i moralny.

Chciéjmy więc zrozumiéć istotę i cel stowarzyszeń, a zrozumiawszy i poznawszy praktyczne ich dążenia, łączmy się naprzód z postępującymi, a skutki niezawodnie trafność podobnego kroku pokażą. *Jan Święcicki.*

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

Odczyty publiczne, miane w Krakowie,

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

(*Ciąg dalszy*).

c) Uporczywość.

Wada ta jest następstwem, niepowstrzymanéj w samym zarodzie zaraz, innéj wady, mianowicie *zuchwałości*, którą przez zbytnią pobłażliwość względem swoich wychowanków, zaszczepiliśmy w nich i rozwinęli.

Pierwszym odcieniem uporczywości, jest—nieposłuszeństwo. Obchodzenie się z tym ostatnim błędem, wymaga nie mniéj ze strony naszéj, jak z innémi, ostrożności. Zle bowiem jest przeciwko dzieciom podobnego usposobienia występować zbyt surowo t. j. chciéć je własnym uporem i zaciętością uczyć i zwracać na drogę poprawy. W takim razie wystawiłby się wychowujcy na utratę zaufania u swego pupila, a złe zamiast naprawić, jeszczeby bardziéj pogorszył. Tu wszakże nie chodzi o przełamanie woli, lecz raczéj o *nagięcie* takowéj, czyli uczynienie jéj powolniejszą na nasze przedstawienia. Z upartém dzieckiem należy postępować z miłością, jakkolwiek także z mocą i stałością, gdyż upór jest niczém innem jak tylko także najgrubszą oznaką silnéj woli, którą to ostatnią do naszego tylko, czyli raczéj za dobry przez nas uznanego celu, nagiąć wypada. Odmawiać od złego dziecię należy łagodnie, i gdzie potrzeba, stwierdzać swoje słowa dowodami; przy czém naturalnie, wszelka chwiejność i niepewność w tonie z naszéj strony, byłyby nie w miejscu.

Nicby także nie było gorszego, jak wdawanie się w podobnych razach w długie dysputy, tym bowiem sposobem podawalibyśmy wychowańcowi sposobność do nowego popisywania się z uporem, zmuszonymi będąc przerwać z nim w końcu rozprawę, chyba jakimś gwałtownym zwrotem, lub nakazując mu po dyktatorsku milczenie. Takie zwycięztwo ze strony wychowawcy jest jednakże tylko chwilowe, przy zdarzonéj bowiem sposobności, rozpoczyna zwykle pokonana strona jeszcze zaciętszą walkę na nowo, co wszystko bardziéj się jeszcze do rozwinięcia wady, którą staramy się zniszczyć, przyczynia.

Chociaż przysłowie utrzymuje: że na upór niéma lekarstwa, nie należy przysłowiu temu wierzyć, gdy idze o leczenie z wady téj dziecka. Tu bowiem na każdą chorobę znajdzie się odpowiednie lekarstwo.

Łagodności tylko potrzeba z naszéj strony i wyrozumiałości na to, że dzieci są niczém innem jak dziećmi.

d) Gadatliwość.

Ostatnia ta wada woli, objawia się najczęściéj u dzieci temperamentu sangwinicznego i obdarzonych żywą imaginacyą. Oznaką jéj piérwszą, jest wielka ruchliwość i niespokojność, natko brak ładu i składu w mowie, która często przechodzi w najniedorzeczniejszą gmatwaninę wyrazów. Dzieci takie mają zwyczaj uprzykrzać się starszym ciągłémi pytaniami, na które najbystrzéjszy rozum nie potrafi często na razie znaleźć właściwéj odpowiedzi; bo pytań tych na raz bywa zwykle za wiele, a wszystkie ponajwiększéj części są płaskie i triwialne. Zresztą kreaturkom podobnym nie chodzi w nich wcale o zaspokojenie ciekawości w jakimkolwiek przedmiocie. Nie czekajac nawet odpowiedzi na popżrednie pytanie, mają zaraz drugą i trzecią kwestyą w pogotowiu, w których wszystkich jedynie dogodzenie nienasyconéj żądzy gadania, mają na celu.

W późniejszym wieku wyradzają się z podobnysh sroczek najnieznośniejsze istoty, które, obrawszy sobie za główny obowiązek i zajęcie mięszanie się do wszystkiegobez wyboru, kwapią się ciągle, przy płytkiem pojmowaniu swojém, z orzekaniem dorywcych i bezmyślnych sądów o najpoważniéjszych, a najmniéj przystępnych dla siebie rzeczach.

Na takie *wściubskie* dzieci, niema lepszéj rady, jak zniewalanie ich powolne do pożytecznych zatrudnień i przymus, aby do wszystkiego, co przedsiębiorą, brały się gorliwie, a powierzone im czynności wykonywały o ile można najściśléj. Strzedz się téż należy mówienia w ich obecności o rzeczach wielkiéj wagi, jak niemniéj wydawania dwóznacznych sądów o osobach znanych powszechnie, więc podających tém samém przedmiot każdemu do uwag nad sobą i do komentarzy, tudzież osobach znajdujących się w bliższym jakimś i poufalszym stosunku z nami, a do których podobnie i dzieci nasze przystępby łatwiejszy i częstszy, miéć mogły. Dozwalać dzieciom takim wtrącać się w rozmowę starszych, jest również szkodliwém, jak dla nas tak i dla nich. My bowiem nararażamy się na nieprzyjemne plotki, których źródłem właśnie nikt inny jak sroczki takie,—tym ostatnim zaś, wmiejsce odebrania broni, którąby wojować mogły, dostarczamy jeszcze żywiołu do rozwinięcia w sobie jednéj z najwstrętniejszych wad człowieka. (*d. c. n.*)

DRUGA MIŁOŚC.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom I.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ XXVI.

Rezultatem długich wzajemnych wywnętrzeń i narad dwóch przyjaciółek było, że należy Sybilli iść na bal, który właśnie dawała pani Ronald i tam, wesołym udziałem w zabawie, okazać publicznie, że wcale nie myśli nosić żałoby po straconym kochanku. Blanka wyznała, że ją hrabia kilkakrotnie obraził dość wyraźnémi oświadczeniami, i że ztąd pochodziła jéj dla niego antypatya. Miss Glyn chętnie podjęła myśl udania się na bal, przypuszczając, że spotka tam hrabiego Andrzeja i że poróżnienie da się załagodzić. Ku wielkiemu zmartwieniu, dowiedziała się od pani Lonville na balu, że hrabia, tegoż samego wieczora, wyjechał do Paryża. Nie było więc co odwłóczyć; rozgłosiła natychmiast wiadomość o zerwaniu, dodając, rozumié się, że uczyniła to sama Sybilla.

— Co za wieczór! och, co za wieczór!—jęknęła Sybilla, wróciwszy późno w nocy do swego pokoju z balu, na którym grała rolę wesołéj, zadowolonéj.

Wytężenie takie, prawie nad siły, teraz odbiło się tym większym upadkiem, znękaniem. Nagle ujrzała na stole list stryja. Chwyciła go pośpiesznie, zerwała pieczęć i zaczęła czytać:

„Droga Sybillo, —pisał,— nie mam pociechy dla ciebie i obawiam się, że jéj nie oczekujesz odemnie. Nie jestem czarodziejem, iżbym mógł uczynić to, co czas tylko sprawić może, ani też nie mam prawa wpajać w ciebie gorzką świadomość, jaką tylko czas zwolna przynosi. Zmartwienie twoje skończy się prędzéj, niż myślisz, bo ludzkie zmartwienie jest krótkie i śmiertelne, tak jak sam człowiek. Niech jednak jedna myśl wzmocni cię w téj próbie—wyszłaś z niéj zwycięzko, nie byłaś słabą, ani nierozsądną w miłości. W tém szczęśliwą jesteś Sybillo; bo miłość jest najniebezpieczniejszém i najbardziéj profanacyi ulegającém, uczuciem człowieka. Dużo to znaczy, przejść swobodnie przez taką próbę i módz spojrzéć poza siebie, ze smutkiem wprawdzie, ale nie ze wstydem. Nic to, żeśmy niegodnego obdarzyli miłością, jeżeli miłość wyrosła z szlachetnych pobudek.

Rozbicie na tém morzu, to dola powszechna; ale kto unosi z niego wspomnienie, że szukał tylko rozkoszy, a nie przystępował do ołtarza miłości z sercem dzielném i poważném, ten, oprócz smutku rozbicia, ma w dodatku uczucie gorzkiego upokorzenia. Takiego upadku moja próżność doznała. Piękność była dla mnie pokusą; miałem świadomość i doświadczenie, którego tobie brakuje, a teraz szamoczę się z moim losem. Wszystko mogło mnie ostrzegać, tak jak ciebie łudziło wszystko. Bo miałaś prawo ufać, Sybillo. Fałszywość jego wynika z pokusy i słabości, nie z przyzwyczajenia, lub co gorzéj, z natury. W tém więc wielkiém rozbiciu, uratowałaś skarb największy, to jest szacunek dla saméj siebie.”

Tego rodzaju uwagi i pociechy, stanowiące treść długiego listu, uśmierzyły nieco moralne cierpienia Sybilli, która w domu z ni-

kim dzielić się swoją boleścią nie mogła; przyjaciółki swéj, panny Cains nie brała za powiernicę, czując jak łatwo mogła jéj tém mimowolnie przykrość wyrządzić.

Tymczasem Miss Glyn i Miss Cains, jednozgodnie uznawały potrzebę okazywania światu, że Sybilla nie martwi się wcale; pierwsza więc, przyjmowała wszystkie zaproszenia na tańcujące zabawy, a druga pamiętała o tém, aby Sybilla świetnie i gustownie ubraną była. Najczęściéj Miss Glyn tylko towarzyszyła Sybilli, bo pan Kennedy, właśnie teraz, zajęty był mocno rachunkami, a Miss Cains, bądź z powodu antagonizmu jaki istniał między nią a ciotką Sybilli, bądź że, jak powiedziała Sybilli, wyrzekła się zabaw światowych, stale pozostawała w domu.

Tak przeszedł tydzień. Gdy raz dwie panie, wcześniéj niż zwykle, wracały do domu wieczorem, Miss Glyn nagle wykrzyknęła:

— Cóż to, widzę światło w salonie!

Spojrzała Sybilla przez okna karety i także światło ujrzała.

— Nie wiem, kto upoważnia pannę Cains, do zasiadania w salonie w Saint-Vincent? — dodała Miss Glyn przykrym tonem.

Właśnie, cień jakiś poruszył się na rolecie okna. Wzrok panny Glyn nie był dość bystry, ale Sybilla, w ten moment poznała, że to był cień mężczyzny. Czy stryj przyjechał? — nie śmiała tego przypuszczenia głośno powtórzyć, wiedząc, że ciotka nie lubi brata pana Kennedy. Nagle zjawił się cień drugi, w którym Sybilla rozeznała postać Blanki.

Po chwili, dwa cienie zbliżyły się do siebie, jakby w rozmowie, zmięszały się ze sobą, i w końcu opuściły okno, które zabłysło już pełném światłem.

— Czy to on? — myślała Sybilla z bijącém sercem. — Onby mi przyniósł pociechę.

Uprzedziła swą ciotkę gdy się kareta zatrzymała i skwapliwie pobiegła do salonu. Rzuciła na około bystrym wzrokiem, ale Miss Cains siedziała sama, a ujrzawszy Sybillę, złożyła książkę, z lekkiém ziewnięciem.

— Tak wcześnie? rzekła.

— Tak — czy to stryj był tu z tobą?

— Zdaje się, że on, — spokojnie odpowiedziała Blanka, — ktoś wszedł do pokoju, zakręcił się i wyszedł, pewnie to Zielonooki.

— Czyż nie widziałaś, Blanko?

— Moja droga, nigdy nie widzę tego, na co patrzéć nie lubię, — odpowiedziała wzgardliwie, — i co, mogę dodać, nie lubi na mnie spoglądać.

Nim zdążyła odpowiedzieć Sybilla, weszła Miss Glyn i z pewnym naciskiem wynurzyła nadzieję, iż Miss Cains zwracała uwagę na ogień w kominku i świece, bo to tak łatwo może się przytrafić pożar.

— Nieszczęściem, bardzo łatwo, — spokojnie odpowiedziała Miss Cains.

Po ceremonjalnem życzeniu dobréj nocy, rozeszły się znużone panie. Ze stryjem nie spotkała się Sybilla; dopiéro na drugi dzień rano, ujrzawszy go przechadzającego się z cygarem po galeryi, zbliżyła się do niego. Spojrzał poważnie w jéj twarz bladą i znękaną i rzekł:

— Gdzieżeście byli wczoraj? — na balu? — na co to robisz Sybillo? siebie saméj nie zwiedziesz, czy warto zwodzić drugich?

— Nie, — odpowiedziała, — zmęczona tém jestem i już nie pokażę się nigdzie. Tylko stryju, pisuj do mnie, mój drogi!

Uderzyła go ta prośba. Pisywał do niéj prawie codziennie, w sposób, jakiegośmy już próbkę podali.

— Dobrze, ale dlaczego prosisz, żebym pisał — czy rozmowa nie zastąpi pisania?

Na ulicy, wieczorem.



On. Pani sama? tak późno!
Ona. Proszę iść sobie gdzie się Panu należy.
On. O Pani! gdyby mi się cokolwiek gdzie należało, pewnie bym tu tak darmo czasu nie trawił.

— Nie, list mogę kilkakrotnie odczytywać, a stryja rzadko mogę widziéć samego.

— Dobrze więc, dziś wieczór jeszcze list będziesz miała.

— Sybillo! — zawołała Miss Glyn przez okno.

Spojrzała Sybilla i ujrzała kwaśną twarz ciotki; usłuchała więc wezwania i zostawiła stryja, palącego cygaro w galeryi.

Unikając kazań panny Glyn, która powodu ich nawet jasno wytłómaczyć nie mogła, Sybilla odtąd rzadko się spotykała ze stryjem, ale wieczorem regularnie dochodził ją list, bądź wprost, bądź zą pośrednictwem książki oddany, i przynosił jéj pociechę, pokrzepiał, łagodził smutek.

W tydzień po przybyciu stryja zdarzyło się, że wyszła na przechadzkę do ogrodu, a następnie, korzystając z pogody, na brzeg morza. Dzień chylił się ku zachodowi, zimny, ale jasny. Morze upływało od brzegu, pozostawiając świecące kałuże na piasku i tworząc tym sposobem, jakby mappę pełną wysp, zatok, wybrzeży i grzbietów gór. Minąwszy załom skały, ujrzała stryja, siedzącego na drewnianéj ławeczce i tak zatopionego w kontemplacyi, że zdawał się nie widziéć jéj zbliżenia.

— Stryju, rzekła, od kilku dni nie dostałam listu od ciebie, dla czego już nie pisujesz? Gdybyś wiedział jak zawsze czekam twego listu niecierpliwie!

— Czy przyjaźń panny Cains nie pociesza cię? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała Sybilla z westchnieniem. Ty jeden, stryju, wiesz wszystko. Czy się na mnie gniewasz, żeś przestał pisywać?

— Nie, Sybillo, ale mam ci coś do powiedzenia.

— Co takiego? -- zapytała bez myśli.

— Sybillo, — rzekł, po krótkiéj pauzie, — spójrz na tę przestrzeń płomienistą, i tę drugą z błękitu; spojrz na te chmury falujące, na niebie i przyznaj, że to bozki widok. Któryś grecki poeta powiedział, że. oglądać piękność tego świata i umrzéć, to już dość szczęścia dla człowieka. Dlaczegoż piękność sama nas nie zadawala? Potrzeba nam nadto — miłości, ambicyi, chwały i Bóg wié czego! Rozkosze oczu są najpiérwsze i najprawdziwsze Bóg je dał wszystkim i wszyscy ja mamy w każdéj chwili. Tylko te codzienność właśnie, osłabia ich wrażenie; lub też nasze serca zaciasne są i zasłabe, iżby mogły żyć karmią, tak czystą i tak eteryczną. Tylko nie patrz na mnie, z taką wymówką, Sybillo. Nie samémi promieniami słońca karmiłem się na świecie; potrzeba mi bardziéj ludzkiéj strawy; nie odróżniam się tak dalece od innych ludzi, iżbym wolał piękny widok nieba, niż przyjazną twarz ludzką. Gdybym był inny, czyżbym mógł pocieszać ciebie, Sybillo?

— Pewno nie, anibym téż cię kochać mogła, tak jak kocham.. Ale miałeś mi coś powiedziéć, stryju.

— Prawda — chciałbym, iżby mi to lżéj przyszło Dobrze więc. Czy pamiętasz, Sybillo, jak raz otworzyłaś list do mnie adresowany?

— Pamiętam dobrze.

— Téj saméj nocy wyjechałem z Saint-Vincent.. Czyś zapytywała ojca o co po moim odjeździe?

— Nie.

I on nie dał ci sam jakich objaśnień?

— Nie.

— Ależ Sybillo, nie wydałoż ci się to dziwném, że ojciec twój i ja, nie nosimy jednakowego nazwiska?

— No, tak, — rzekła Sybilla z wahaniem.

— I zawsze jeszcze jesteś przekonaną, żem bratem twego ojca?
— Tak.
— I jakżeś to wytłómaczyła sobie?
— Sądzę, że jesteście bracia przyrodni.
— Nie, Sybillo, tak nie jest, musisz wynaleźć coś innego.
Sybilla spojrzała nań zmięszana.
— Zatém, to było przybrane nazwisko?—zapytała.
— Dermot? Nie. Nazywam się w istocie Dermot, — odpowiedział spokojnie, — Edward Dermot.
— Stryju, nie rozumiem tego.
— Bo jesteś samą prawdą, Sybillo, i nie masz pojęcia o udawaniu. Toż to zagadka, którąby dziecko teraz mogło wyjaśnić. Rzecz prosta, że nie jestem bratem twego ojca.

Nigdy nie zapomniała Sybilla wstrząśnienia, jakie jéj sprawiły te słowa: na tém pokrewieństwie przypuszczalném stała cała budowa jéj przyjaźni i wywracała się teraz po usunięciu fundamentu. Patrzała na tego obcego człowieka, który sobie, przez tak długo, przywłaszczał miejsce w jéj sercu i stopniowo, od żalu, przechodziła do oburzenia i gniewu. Przypomniała sobie jak mu wierzyła, jak go słuchała, jak czasem, z swobodą i czułością córki, zbliżała się do niego; i choć była młodą i niedoświadczoną, dość że była kobiétą aby poczuć krzywdę, jaką jéj wyrządził.

— Dlaczegoż więc pan zawsze mówiłeś, że jesteś moim stryjem? krzyknęła, zrywając się z miejsca, z błyszczącémi oczami?
— Nie mówiłem tego nigdy, — odpowiedział ostro.
— W istocie, nie mogła sobie przepomnieć Sybilla, iżby kiedy sam sobie ten tytuł nadawał. Jego spokój w tonie i wzroku, doprowadzał ją do szaleństwa.
— Nie możesz pan powiedzieć, żeś nie wiedział o tém, że mam cię za swojego stryja, panie Dermot,—rzekła zarumieniona z gniewu.
— Gdybym był o tém nie wiedział, czyżbym teraz widział potrzebę objaśnienia?

Sybilla nie mogła na to odpowiedzieć; gniew i żal miotał nią naprzemian. Niechciała ojca swego oskarżać, ale wiedziała, że on winien i mimo gniewu, jaki ją opanował, widziała, że pan Dermot nie chciał się usprawiedliwiać kosztem Kennedego.

— A dlaczegoż mi to pan teraz powiadasz? zapytała popędliwie, ale nie nierozważnie; wszakżem się nie pytała, nie wątpiła nawet?

Mimo zmroku, dostrzegła, że się pan Dermot zarumienił. Miał on słuszne powody, ale ich nie mógł przedstawić. Jego milczenie jeszcze bardziéj ją rozdrażniło.

— Panie Dermot, — zaczęła.
— Przepraszam, —przerwał jéj, — ale dopóki ojciec pani nie zechce dać objaśnień, nie możesz mnie tak nazywać. Pozostaję stryjem Edwardem, tak jak dotąd. To com powiedział, powinno zostać między nami.
— Tu niema nikogo, — popędliwie zawołała Sybilla,— nieba albo morza nie potrzebujesz się obawiać, panie Dermot; będę cię nazywać panem Dermot i wypowiem, jak mocno mnie oburza oszukiwanie łatwowiernego dziewczęcia. *Jemu*, mogłabym przebaczyć, — dodała złamanym głosem; on zaczął szczerze, a uniosła go namiętność dla lepszéj, piękniejszéj, powabniejszéj odemnie, ale pan, z namysłem robiłeś sobie ze mnie igraszkę. Z namysłem pociągałeś mnie ku sobie, okazywaniem uczucia, którego mieć nie mogłeś. Zrobiłeś mi krzywdę, panie Dermot.

Łzy przerwały jéj mowę. Dermot, mocno wzruszony, przystąpił do niéj, wyciągając rękę; ale Sybilla odsunęła się, wyprostowała i założyła ręcę za siebie.

— Nie mogę,— rzekła. Dla mojego ojca zrobię to, że będę milczała, ale jak powiedziałam, tu jesteśmy sami. Dobranoc panu.

Nie odpowiedział jéj, spoglądał na nią z nieukontentowaniem i nie zatrzymywał, gdy się oddalała. Uszedłszy kawałek, zatrzymała się Sybilla, rozmyślając nad tą nową swoją krzywdą. Gorycz to była niewypowiedziana. Tak kochała tego drugiego obłudnika! tak mu wierzyła!

— O! czemuż nie postępował szczerze! — mówiła sama do siebie:

Posłyszała szybkie i pewne kroki — to on był. Usunęła się na bok, myśląc że jéj szuka, ale pan Dermot nie myślał o tém. Prawdopodobnie ją widział, ale nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, przeszedł spokojnie, paląc cygaro. Sybilla spojrzała za nim z gniewem i smutkiem. Mimo całego oburzenia, kochała go i z pewną radością przypuszczała, że i on ją kocha. Teraz zawiodła ją nadzieja i próżność jéj dotkniętą została.

Widział mnie i przeszedł mimo, — myślała, — dobrze, niech tak będzie.

ROZDZIAŁ XXVII.

— Tu jesteśmy sami, mówiła Sybilla, ale myliła się. Był tam ktoś, o kim ani ona nie wiedziała, ani pan Dermot. O dziesięć kroków od nich, ukryta za jesionem, siedziała Miss Cains. Nie przyszła dla podsłuchiwania, bo była tu już przed nimi, ale ich przybycie zatrzymało ją, a po ich odejściu, jeszcze pozostała. Patrzyła na spokojne morze i piętrzące się chmury na niebie, a myśli jéj ulatywały gdzieś daleko. Nagle posłyszała kroki zbliżające się ku niéj. Znała je dobrze, obróciła się więc i rzekła spokojnie:

— Sybilla odeszła.
— Czy była tu z panią?—żwawo zapytała miss Glyn.
— Była tutaj.
— Sama?
— O, nie, nie sama.

Nastąpiła chwila milczenia, poczém miss Glyn zapytała:

— Czy mogę pani zapytać z kim była?
— Było ciemno, zresztą nie patrzałam.
— Ale sądzę, żeś ich pani słyszała?

Blanka zamilkła z kolei, wreszcie rzekła mierzonym głosem:

— Słyszałam; ale nie wiedzieli, że ja tu byłam. Mówili tak swobodnie, jakby byli sami i najlepiéj będzie jak zapomnę to, co usłyszałam; zresztą mówili o tém, co ich tylko dotyczé.

Odwróciła się do panny Glyn, niby nie mając nic więcéj do powiedzenia. Miss Glyn czuła się bardzo zakłopotaną. Widziała jak szedł w tę stronę Dermot, widziała potem Sybillę, idącą w tymże kierunku i właśnie gdy wybierała się za nią, pani Ronald otworzyła drzwi, składając jéj krótką wizytę, która się niesłychanie długą wydała troskliwéj ciotce Sybilli.

— Panno Cains,—rzekła zaniepokojona, —nie chcę pani bynajmniéj skłaniać do niewłaściwego postępku, ale jesteś powiernicą Sybilli.

— Nie, — przerwała miss Cains, nieco ponuro, — byłam, lub przynajmniéj myślałam, że nią jestem, ale dowiedziałam się dzisiaj, że kto inny zajął moje miejsce.

Słowa te zwiększyły jeszcze niepokój panny Glyn. Posunęła się do błagania.

— Na miłość Bozką, panno Cains! jeżeli wiesz co....
— I cóżbym mogła wiedzieć takiego, o czembyś pani sto razy lepiéj nie wiedziała? przerwała miss Cains. Cóż ja, obca, mogę wiedzieć o interesach i tajemnicach familijnych?

Mówiła to tonem wyzywającym.

— A któż mówi, że tu są familijne tajemnice?—zapytała miss Glyn zapalczywie.—Pani to chyba robisz z niczego tajemnicę. Ja chcę tylko wiedzieć, gdzie jest moja siostrzenica?
— Dlaczegóż mnie pani o to pytasz? Byli tu, rozmawiali. I cóż szczególnego mogło być w rozmowie pomiędzy stryjem i siostrzenicą?—dodała ze wzgardliwym naciskiem.
— On nie jest jéj stryjem. zawołała miss Glyn, drżąc z uniesienia. On jest samozwańcem, szkaradnym samozwańcem; a ton, w jakim pani o nim mówisz, dowodzi, że wiész o tém; sądzę nadto, że im dopomagasz, panno Cains!

Panna Cains wstała i roześmiała się.

— Dziękuję,—rzekła,—możesz pani myśleć o mnie, jak się podoba, ale on nie jest samozwańcem, bo nie oszukuje nikogo. Właśnie dziś wieczór zupełnie otwarcie mówił.

Odeszła, pozostawiając pannę Glyn złą na nią, a do najwyższego stopnia oburzoną na „samozwańca,” który od samego swego pojawienia się, był dla niej wstrętny; który, jak to słusznie przypuszczała, zerwał ułożone małżeństwo między jéj siostrzenicą a hrabią de Renneville. Teraz, wracając do domu, czuła, że ma doskonałą okazyą zemszczenia się i postanowiła jéj użyć.

Wszystko w salonie zastała tak, jak sobie życzyć mogła. Pan Dermot stał i rozmawiał z panną Cains, która tylko co weszła, a Sybilla siedziała na stronie, z otwartą książką w ręku.

— Sybillo, gdzie byłaś?—zapytała panna Glyn.
— Przechadzałam się nad brzegiem morza.
— Czy mogę zapytać z kim?
— Ze stryjem,—odpowiedziała wahając się, Sybilla.

Tego tylko czekała panna Glyn.

— Sybillo,—rzekła,—proszę cię nie nazywaj téj osoby swoim stryjem.

Sybilla spojrzała na nią zdziwiona, ale pan Dermot podniósł rzuconą mu rękawicę.

— Czy mogę wiedzieć, dlaczego Sybilla ma mnie nie nazywać stryjem?—zapytał zimno.
— Dlatego, że pan nie jesteś jéj stryjem,—gwałtownie zawołała miss Glyn,—dlatego że pan wdarłeś się do prywatnych stosun-

ków téj rodziny i dlatego, że chociaż pan Kennedy jest ojcem Sybilli i panem tego domu, nie ma prawa łudzić swego dziecka fałszywém pokrewieństwem.

— Jego wiec wyłaj pani,—zimno odpowiedział Dermot.

Wyraz ten „wyłaj” niezmiernie obraził pannę Glyn, która czuła, że za wysoko, jak na przyzwoitą damę, głos podniosła. Oczy jéj zabłysły, usta zadrgały.

— Dziękuję panu, — rzekła, — dziękuję panu — daruj, iż nie przyłączam nazwiska, bo go nie znam.

— Jak pani chcesz,—odpowiedział,—nie wątpię, że mój brat...

— Brat pański?—przerwała z gniewem,—jak pan możesz nazywać go bratem swoim?

Mój szwagier, jeżeli się pani tak podoba, [1]) — odpowiedział spokojnie. Zapewne pani wiadomo, że Jakóba druga żona, była moją siostrą?

Panna Glyn nic o tém nie wiedziała, bo Kennedy o drugiém, krótko trwającém małżeństwie, nigdy nie wspominał przed rodziną pierwszéj swojéj żony. Zdziwienie jéj było też nadzwyczajne, ale po chwili odzyskała zimną krew.

— Nie wierzę temu, rzekła śmiało.—Jakób raz tylko był żonaty i to z matką Sybilli.

— Dwa razy był żonaty, a moja siostra, choć tylko kilka miesięcy żyła po ślubie, wniosła mu ten majątek, którego do dziś dnia używa.

— Co mi w to wchodzić!—zawołała gwałtownie panna Glyn.— Choćbyś pan był jego szwagrem dziesięć razy, zawsze wcisnąłeś się tu, pod przybranym tytułem, a to nieładnie.

— Oczy mu zielenieją,—pomyślała Sybilla, spostrzegłszy cóś jak błyskawicę w źrenicach Dermota, ale było to tylko chwilowo. Ochłonął i obróciwszy się zwolna, rzekł z godnością:

— Panno Glyn, gdybyś była wezwała mnie do wytłómaczenia się w cztery oczy, mógłbym go odmówić, ale wyzwałaś mnie wobec świadków, o których szacunek mi idzie, nie dziw się więc, jeżeli teraz, powiem cóś takiego, co ci będzie nieprzyjemnie usłyszéć

— I cóż to takiego być może?—wzgardliwie zapytała miss Glyn.

— Moje nazwisko.

— Przyznam się panu, że chciałabym je usłyszeć. Tak niewygodnie rozmawiać z osobą, któréj nazwiska nie wiemy. Sądzę, że to i panu musiało być niedogodném. Teraz rozumiem dlaczego nie chciałeś chodzić na bale, bo jakże mógłbyś pan być przedstawionym?

— Moje nazwisko,—odpowiedział poważnie, — jest Edward Dermot.

Słysząc te słowa, panna Glyn wyglądała jakby gromem uderzona. Patrzyła na swego antagonistę z otwartémi ustami, ale nic nie rzekła. Siadła nareszcie, z widocznie zmięszaną miną.

Dermot w całéj téj rozprawie zachował panowanie nad sobą. Mówił wolnym, równym głosem, z lekkim odcieniem wzgardy. Miss Glyn ścisnęła usta i wzięła swoję robotę ze stołu, Sybilla wróciła do książki, Blanka wstała i opuściła pokój. Niezadługo po jéj wyjściu, otworzyły się drzwi i wszedł Kennedy. Spojrzał po trzech osobach znajdujących się w salonie i zmiarkował jakąś burzę w atmosferze domowéj. Dermot stał przy kominku, przeglądając gazetę, Miss Glyn gorliwie haftowała, Sybilla siedziała w trzecim kącie, z głową opartą na ręku.

— Czy cię boli głowa, Sybillo?—zapytał Kennedy.

Sybilla przytwierdziła; widocznie w téj wymówce, jak w twierdzy, chciała się oszańcować i utrzymać pozycyą.

— Ale ciebie nie boli głowa, panno Maryo?

Miss Glyn położyła robotę, a Darmot podniósł głowę od gazety.

— Nie, nie boli, a zatém możemy pomówić ze sobą, jeżeliś łaskaw.

— Dobrze,—odpowiedział obojętnie Kennedy, wyciągając się w fotelu i zakładając ręce przed siebie.

— Pan Dermot—zaczęła panna Glyn, a Kennedy wzdrygnął się nieco.—Pan Dermot powiada mi, że jest twoim szwagrem. Rozumié się, wierzę mu.

— Rozumié się,—spokojnie odpowiedział Kennedy.

— Ale powiédz, proszę, dlaczego nie zawiadomiłeś nas o swoim powtórném małżeństwie?

— A jakaż była tego potrzeba? Cóżby to dodało do waszego szczęścia, pomyślności, wygody?

Spokojna zuchwałość jego tonu rozjątrzyła pannę Glyn.

[1]) Po angielsku brat: *brother*, szwagier *brother-in-law;* w rozmowie często opuszcza się dodatek *in-law*.

(*Przyp. tłóm.*)

— Panie Kennedy,—rzekła,—nie masz prawa zwodzić familią, z którą się połączyłeś.

— To jeszcze pytanie, ale w każdym razie bardzo dawne Ożeniłem się z siostrą Dermota, ileż to... czternaście lat temu.

Panna Glyn usiłowała być spokojną i rzekła:

— Dlaczegóż mi powiedziałeś, że pan Dermot jest twoim bratem?

— Bo jest nim, [1]) odpowiedział Kennedy, a ponieważ wiész teraz kto on jest, to zapewne i przypominasz sobie, że dwa razy już uratował mnie od ruiny, a raz ocalił nietylko mój, ale i twój majątek. Sądzę, że nazwiska Dermot, nie powinnaś była zapomniéć.

— Nie, — nie zapomniałam go,—odpowiedziała panna Glyn wstając, tylko przyznaj, że słusznie się dziwię temu, że mi z niego robiono tajemnicę.

Kennedy wyglądał, jak posąg zdziwienia.

— Droga pano Glyn, chyba nie mówisz seryo? Kto je tu kiedy ukrywał?—Miss Glyn zamilkła. Nieznała pana Dermot z osoby, ale bardzo dobrze z nazwiska. Był bogaty, szlachetny i wielki przyjaciel Kennedego. Dwa razy ocalił majątek tego ostatniego, blizki ruiny, a raz szczupły kapitał pani Glyn. Trudno jéj było w obecności Dermota daléj spór prowadzić, a nie chciała znowu nawet milczeniem przytwierdzić oczywistemu kłamstwu Kennedego. Wstała więc i rzekła:

— Pomyślimy o tém jutro.

— Kiedy zechcesz, moja droga,—odparł, i grzecznie, według zwyczaju, odprowadziwszy ją do drzwi, zajął znowu swoje miejsce.

— Sądzę, że papiéry wszystkie już gotowe, rzekł do Dermota po chwili.—Dermot, który do tego czasu poważne zachowywał milczenie, odpowiedział:

— Zdaje się, ale pójdę, przejrzę je jeszcze.

Gdy opuścił pokój, Kennedy wyciągnął się, ziewnął, spojrzał wokoło i spostrzegłszy Sybillę, siedzącą jeszcze z podpartą na ręku głową, rzekł do niéj:

— Sybillo, pójdźno tutaj.

Sybila usłuchała. Kennedy pociągnął ją do siebie i ucałował. Po raz pierwszy to było od czasu, jak zerwała z hrabią.

— Jakże to tu wszystko było?—zapytał z uśmiéchem.

— Nazwałam pana Dermot stryjem, a ciotka się rozgniewała.

— Dobrze, dobrze,—niech sobie gada,—nie potrzeba tego powiadać pannie Cains.

— Ona tu była, ojcze.

— Była? No, mniejsza z tém; niedorzecznie postąpiła sobie panna Glyn. Wiedziała, każdy o tém wiedział, że ja nie mam brata.

— Któż on jest, mój ojcze?

— No Sybillo, sama widzisz, że to dobry, piękny i ukształcony mężczyzna—a i bogaty do tego.

— I to jest ów Dermot, o którym pan Smith pisał?

Kennedy rozśmiał się.

— Znowu pan Smith?— chybaś się w nim zakochała? Powiem ci nawiasem, żo musisz utrzymać dobre stosunki z Dermotem. Dziś, jakoś niemile patrzyliście na siebie. O cóżeście się pokłócili?

— O nic, tylko on nie jest moim stryjem.

— Ha, ha, ha, na to rady niema. Zresztą, nazywaj go stryjem, jeżeli ci o to chodzi. To brzmi serdeczniéj, poufaléj, niż Dermot. I o to téż mi chodziło. No, pogódźże się z nim,—dodał wstając,—ja go tu przyślę.

— O, nie, mój ojcze!—zawołała Sybilla przerażona.

— Owszem tak, Sybillo i bądź z nim uprzejmą—już ja wiém o co mi chodzi. To rzekłszy, wyszedł z pokoju, nie zwracając uwagi na Sybillę, któréj na płacz się zbierało. Nie lubił on zaniedbywać żadnéj szansy w życiu. Dermot był szacownym przyjacielem, a każdy mógł widzieć, że bardzo lubił Sybillę. Nie chciał Kennedy, ażeby stygło to uczucie, bo i przyjaźń mogłaby na tém ucierpiéć.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO. (*d. c. n.*)

Boże Narodzenie.

Uważamy za złe pismom niektórym, wspominamy o tém otwarcie, iż najczęściéj w podawaniu rycin, mających wyobrażać obchód uroczystości w kraju naszym, świąt Bożego Narodzenia, świąt *dzieci* i właśnie *ludu*, — wybierają szkice zdjęte z życia klas wyższych, rozpieszczonych, u których każdy prawie obiad i kol-

[1]) Gra słów, którą objaśniliśmy powyżéj. (*Przyp. tłóm.*)

lacya wyglądają pyszniéj, niż świąteczne u klass niższych i raz tylko do roku zdarzające się, zastawienie stołu.

Jaką racyą te pisma kierują się wtedy,—nie rozumiemy.

Otóż znacznie gorszy od innych podobnych we względzie rozmiaru i wykończenia (nie stać nas bowiem na zbyt szumne obrazki!)— lecz szkic zdjęty właśnie z życia *ludu*,—z chwili obchodzenia przez tenże, Święta „Gwiazdki," podczas Bożego Narodzenia—podajemy w dzisiejszym numerze czytelnikom swoim. (Patrz drzeworyt—str. 413.

NOWINY.

— Autorstwo dla dzieci, tak liczny zastęp zapaśników liczące za granicą, u nas posiada zaledwie kilka piór, specyalnie się mu poświęcających. „Przyjaciel dzieci," choruje dotąd nieuleczenie na suchoty w tym względzie. Z prawdziwą więc przyjemnością zanotujemy, że w „Kalendarzu Ludowym," wyszłym w tym roku przy „Zorzy," znajduje się 14 *powiastek dla dzieci*, napisanych przez księdza Wacławskiego, ze szczególnym talentem i prostotą. Ks. Wacławski rozumié dla kogo pisze; styl jego prosty i jasny; wypadki, stanowiące treść tych powiastek, autor czerpał z życia, myśli i serca dzieci, a odmalował je w sposób taki, że czytelnicy jego zrazu pochwycą to, co w podobnych utworach całe *hoc* stanowi, t. j. cel i stronę moralną rzeczy. Z tytułu przeznaczenia pisma naszego, uważamy się w obowiązku zwrócić uwagę Publiczności na tę literaturę dla młodego pokolenia. P. Kaufmann przygotował téż dla młodzieży i dzieci, na gwiazdkę, spory zbiorek powiastek umiejętnie wybranych, których spis podajemy tu, jako dodatek do zanotowanych już w przeszłym N-rze „Opiekuna." *Wiązanka na rok I-szy*, zebrana przez p. Jana Chęcińskiego, zawiera piękny repertoarzyk opowiadań historycznych i powiastek z życia dzieci, z których kilka tu wyliczamy: „Niewola u Tatarów i Turków," z pism Szajnochy; „Mama synkowi płakać nie każe," przez M. Ilnicką; „Anioł," przekład J. Chęcińskiego, z Andersena; „Dzień szczęśliwy Zosi" przez A. E. Odyńca i wiele innych. U tegoż samego wydawcy-księgarza, znajdują się: „Cuda Oceanu," powiastka nader pouczająca, przełożył J. Chęciński, i „Elementarz języka polskiego." „Wiązanka na rok II-gi" wkrótce opuści prassę. Zwracamy téż uwagę rodziców, na piękne wydanie bajek I. Krasickiego, z rycinami i bardzo pouczającémi objaśnieniami, u tegoż p. Kaufmanna.

— Ile razy przychodzi nam mówić o literaturze i przejawach z życia społecznego dzisiejszéj Francyi, nie możemy się wzbronić najsprzeczniejszym wrażeniom. W jedném i tém samém piśmie, na jednéj karcie czytamy o szalonym zapale, z jakim tłumy Paryżanów biegną na operę,—tłoczą się w Teatrze *Gymnase*, na widowiska treści często nader wątpliwéj; jak licznie żenią się i wychodzą zamąż; jak cieszą się truflami; a na drugiéj zaraz, spotykamy piorunujące napomnienia publicystów, zgorszonych tą gorączkową jakąś i niewłaściwą wesołością miasta, które tak niedawno stało na wulkanie ostatecznéj zguby; a na trzeciéj jeszcze, pouczającą, a przynajmniéj w tym celu nasuwaną przed oczy obłąkanych, cytacyą takich dzieł, jak pp. Edmunda Yon: „Okolice Paryża po wojnie," gdzie każda karta krwią w oczy bryzga; — rozstrzelanego Rossela: „Ludzie Kommuny," gdzie wychodzą na scenę najsmutniejsze ofiary tegoż samego życia gorączkowego *z dzisiaj na jutro*, robiącego z ludzi głupców, lub potworów... A temu wszystkiemu, przygrywa wycie wilków, które, korzystając z ogromnych śniegów, jakie spadły w departamencie Oise, dociérają aż do wrót Paryża, jak złowieszcze awanposty nowych najezdników... W co się to przeistoczyła ta błyskotna pomyślność pewnéj siebie Francyi, któréj piérwszy minister Filipa Augusta, mówił: „enrichissez vous," a Napoleon III podawał do ust czarę Cyrcei!....

— Na trzy dni przedświąteczne, Towarzystwo Dobroczynności urządziło u nas w salach redutowych „Bazar" na Gwiazdkę. Jestto karnawał kupiecki, tém korzystnie różniący się od karnawału w salach resursowych, że naddatki, dawane tu za cacka różnego rodzaju, przy czém próżność ludzka nie małą gra rolę, przejdą pod dachy tych, którzy *łakną i pragną*.

— Z dalszych wiadomości literackich u nas i w obczyźnie, zapisujemy tu i tam zebrane fakta:

— W Pilznie, w Czechach, zawiązało się stowarzyszenie wydawnicze pod nazwą: „Matica Sławiańska." Kiedyżto my przyjdziemy do tego przekonania, że stowarzyszenia wydawnicze więcéj przynoszą korzyści. jak *wydawnicze rozdwojenia*?

— U nas, do licznego szeregu nowych pism, wygłoszonych już oddawna, ma jeszcze przyłączyć się gazeta, p. t. „Pszczoła." Ciekawe zapytanie, czy sprawdzi się u nas, odnośnie do takiéj mnogości pism peryodycznych, to stare przysłowie: „*od przybytku głowa nie boli?*" Znam takich, co zawczasu stękają na to i oburącz biorą się za głowę.

— P. K. Flamarion napisał obszerne i ciekawe studyum, p. t. „Kopernik."

— P. Władysław Miłkowski przełożył *Logikę Dra* Alberta Stöckla.

— P. Gargulski napisał powieść 2 tomową(!!), p. t. „Wola matki."

— P. Roman Bierzyński, wydaje dzieło: „O prawach kobiety do nauki i pracy." Jakże to brzmi odstręczająco obok zachęcającéj instytucyi *trefienia* koków u p. Kocha, *Prezesa Akademii Paryzkiéj trefienia włosów*. Tak—o tym tytule p. Kocha dowiedzieliśmy się z biletu, oderwanego od pudełka z kokiem u jednéj z elegantek warszawskich, wyszłego z *tego znakomitego zakładu oporządzania głów płci pięknéj*.

— P. F. M. Sobieszczański napisał Historyą Warsz. Tow. Dobroczynności."

— W Rzymie rozpoczęto budowę wielkiego Teatru „Vittore Emmanuelo," na 4,500 osób. „Bawcie się Rzymianie! Zadługoście się modlili!" Wictor Emmanuel wcale roztropny!....

— Jutro, na scenie Teatru Wielkiego artyści włoscy, mają po raz piérwszy przedstawić Operę Verdi'ego p. t. „Trubadur."

— Z odbytych po różnych gimnazyach i szkołach tutejszych, aktów zakończenia piérwszego półrocza bieżącego roku szkolnego,— przychodzi nam szczególniejszą zwrócić uwagę na akt podobny Gimnazyów: 6-go męzkiego i 3-go żeńskiego, gdzie Inspektor obu szkół wzmienionych, p. Wulf, zwrócił się do uczniów i uczennic z przemową, którąbyśmy za wzór prawdziwy wszystkim tego rodzaju występom ze strony Władzy Szkolnéj, podać mogli.

Sądzimy, że tą tylko drogą i takiémi słowami, zachęca się młodzież do pracy i nauki.

Już to przyznać trzeba, że oba te zakłady, zostające pod kierunkiem doskonałego i światłego pedagoga, dyrektora Beckmana, w rzędzie wszystkich innych tutejszych, odznaczają się niepospolicie,

PP. Prenumeratorom, którzy **wprost pod adresem Redakcyi**: w Warszawie, ulica Chmielna, dom Smolikowskiego. Nr. 3 (nowy), złożą całkowitą **roczną** prenumeratę, plus 20 kop., — wyszle się zaraz z piérwszym numerem po Nowym Roku, **Kalendarz Warszawski Illustrowany**, w książce, wartości księgarskiéj 50 kop. (wraz z przesyłką). Nowym PP. Prenumeratorom, zapisującym się na rok 1871, Redakcya **za połowę zwyczajnéj półrocznéj ceny**, czyli za nadesłanie jéj jednorazowo:

Z prowincyi rs. 1 kop. 20-stu,
w Warszawie zaś „ 75-ciu,

dołączy *półroczny* komplet numerów „Opiekuna" z 1871 r., w którym się znajduje 1-szy tom powieści: **Druga Miłość**, tudzież początek odczytów publicznych, 'mianych w Krakowie przez *Lucyana Falkiewicza*, p. t.: **O temperamentach dzieci.**

Cena zatém zwyczajna prenumeracyjna, wynosi:

Na prowincyi:	rocznie	rs. 4 kop.	80
	półrocznie	„ 2 „	40
	kwartalnie	„ 1 „	20
W Warszawie:	rocznie	rs. 3 kop.	—
	półrocznie	„ 1 „	50
	kwartalnie	— „	75
	miesięcznie	— „	25

Prenumerata roczna z Kalendarzem:

Na prowincyi:	rs. 5 kop.	—
W Warszawie:	„ 3 „	20

Cena jednorazowa, z półrocznym kompletem numerów „Opiekuna" z 1871 roku:

Na prowincyi:	roczna	rs. 6 kop.	—
	półroczna	„ 3 „	60
	kwartalna	„ 2 „	40
W Warszawie:	roczna	„ 3 „	75
	półroczna	„ 2 „	25
	kwartalna	„ 1 „	50
	miesięczna	„ — „	95

P. S. Stosownie do ogłoszenia, Powieść Adama Bełcikowskiego, p. t.: **Dług Honorowy**, rozpocznie się w półarkuszowym dodatku, zaraz z początkiem Nowego Roku, niezależnie od powieści **Druga Miłość**, któréj tom drugi w dalszym ciągu drukować się będzie.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.